

## Dlaczego?...

W ostatnich latach ubiegłego wieku pracowałem w charakterze sprzedawcy u M. Gaucherot'a, wielkiego jubilera z ulicy de la Paix. Miałem wówczas lat 25 i nie wymagając wiele od życia, czułem się szczęśliwym. Zawód mój podobał mi się, a czytając dużo, czyniłem zadość posmakowi, jaki miałem zawsze dla literatury. Rzecz nie bez znaczenia dla urzędnika przytem: byłem w doskonałych stosunkach z moim pryncypałem.

Owego ranka gdy przyszedłem do magazynu, oznajmiono mi, że M. Gaucherot czeka na mnie w swoim gabinecie. Niepokojny trochę, jakkolwiek nie miałem nic na sumieniu, udałem się niezwłocznie do niego. M. Gaucherot przystąpił swoim zwyciężajem natychmiast do rzeczy:

— Muszę przedewszystkiem zapytać cię kochany Gastonie, czy rozporządzasz zupełnie swym czasem i swą osobą?

— Tak jest, panie Gaucherot; za wyjątkiem godzin, w których jestem na pańskie usługi.

— Doskonale. Idę dalej w takim razie; znasz chyba pamięć Santa-Anna, nasza stała klientka?

— Tę starą damę, dawną kokotę, która ma takie wspaniałe klejnoty?

— Właśnie. Otóż pani Santa-Anna przysłała wczoraj do mnie nad wyraz wzburzona. Zginął jej bowiem jeden z najcenniejszych naszyjników z pereł i brylantów i jest przekonana, że został skradziony. Podejrzewa o to swą lektorke,

— Owszem, przypominam sobie tę ekscentryczną nieco osobę o typie cygańskim.

— Otóż panna Maritza opuściła onegdaj panią Santa-Anna nagle pod pozorem nieodzownego wyjazdu do Normandji, gdzie ma podobno mały majątek rodzinny. Wczoraj zaś pani Santa-Anna zauważyła brak naszyjnika w szkatułce. Biorąc pod uwagę pewne osobliwości w sposobie życia panny Maritzy, klientka nasza czuje się uprawnioną niejako do podejrzenia jej o przywłaszczenie sobie klejnotu. Nie chciałyby jednak ścigać panienki policja; znała bowiem dobrze ongiś ojca jej, słynnego rzeźbiarza; panna Maritza ma przytem sporo zalet, nie pozwalających pani Santa-Anna postąpić z nią brutalnie. Przysłała tedy do mnie prośbę; ja zaś, zastanawiając się nad tą sprawą w nocy, pomyślałem o tobie.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie Gaucherot, ale co ja mogę pomóc panu w danym wypadku?

— Mógłbyś pojechać wsiad za panną Maritza...

— Dokąd, gdzie, jak?... — zawołałem zdumiony.

— Lubię tę zapalczywość młodzieńca... Mająceczek panienki leży w pobliżu wioski Lyons-la-Forêt przy stacji kolejowej Pont-de-l-Arche. Udaj się tam; zamieszkał w hotelu, czy gospodzie; postaraj się zapoznać z panną Maritza; wymyśl jakąś prawdopo-

dobną historję dla upozorowania twego pobytu w tej okolicy, a że jesteś ładnym chłopcem spróbuj rozkochać ją w sobie, zostań jej powiernikiem...

— Czyż pan przypuszcza, panie Gaucherot, że przyznałaby mi się do popełnionej kradzieży...?

— Dlaczego nie? Miłość jest bardziej jeszcze gadatliwą, niż ślepą. Nie żądam od ciebie kategorycznie zresztą, abyś odebrał jej naszyjnik; postaraj się raczej skłonić ją do odesłania go pani Santa-Anna, która odwdzięczy ci się za tę przysługę sumą pięciu tysięcy franków; ręczę ci za nie. Spełnisz przytem dobry uczynek, odwołując pannę Maritzę od upierania się przy swym nieczym postępku.

— Sprawa drażliwa, panie pryncypale! Pozwoli mi pan pomyśleć nad tem? Dziś wieczorem dam panu odpowiedź.

— Zgoda. Pewien jestem przychylny.

Ledwie znalazłem się za progiem gabinetu pana Gaucherot, już byłem w duszy zdecydowany podjąć się osobliwej misji,

Spotkałem ją w lesie, ciągnącym się tuż za wioską Lyons-la-Forêt, poznałem Maritzę natychmiast. Szła z głową odkrytą, nawijając psa. A że przed chwilą widziałem



dużego brytana, goniącego stado jeleni; ofiarowałem jej swoją pomoc, przedstawivszy się jako aplikant adwokacki z miasta Menesqueville na urlopie.

W trzy dni potem zakochałem się w niej po uszy.

Domek Maritzy leżał na końcu wioski, o kilkanaście kroków od lasu. Mieszkała w nim samotnie. Prosiłem ją kilkakrotnie o pozwolenie zwiedzenia skromnej tej willi, pełnej, jak mówią, pamiątek po zmarłym ojcu-rzeźbiarzu. Daremnie jednak. Maritza wymawiała się stale obawą skandalicznych plotek, które bytność młodego człowieka u niej mogłaby wywołać w sąsiedztwie.

Pewnego wieczora jednakże uległa mym bardziej natęczywym, niż zwykłe naleganiom.

Dlaczego Maritza oddała mi się tego wieczora?... Dlaczego, przy rozstaniu spojrzawszy mi prosto w oczy, rzekła zniemacka:

— Teraz możesz szukać u mnie klejnotu pani Santa-Anna... Poznałam cię odrazu i domyśliłam się fortelu. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego podjąłeś się tej misji?

Stropiony mocno, przyznałem się jej do wszystkiego; do nagrody nawet, obiecanej

mi w imieniu pani Santa-Anna przez pana Gaucherot za zdradzenie jej.

— Srebrniki Judasza!... — szepnęła z gorzkim uśmiechem na ustach.

— Nie znałem cię, Maritzo! — tłumaczyłem się zmieszany.

— A teraz, skoro mnie znasz trochę, czy uważasz mnie za złodziejkę?

— Nie chcę zastanawiać się nad tem, majdroższa!

— Gdybyś był pewnym jednak, że ukradłam naszyjnik?... —

— Kochałbym cię mimo to, Maritzo!

— Możesz przypuścić zatem, że dopuściłam się kradzieży?... —

Dlaczego zawałałem się przez jedno okamgnienie, nim odpowiedziałem: „Nie!“?

Maritza odwróciła oczy. Ze łzami błagałem ją o przebaczenie. Położyła mi łagodnie rękę na ustach, mówiąc:

— Dostyć już... dostyć! Mówmy o czem innym.

Nazajutrz z rana, obudziwszy się w swym numerze hotelowym, ubrałem się szybko i z niewytłumaczonym niepokojem pośpieszyłem na stałe miejsce moich rannych schadzek z Maritza, przy rołku ulicy Chêne-Tordu. Przychodziła zwykle około godziny dziewiętej. Tego dnia wszakże, czekałem jeszcze na nią, gdy dziesiąta wydzwoniła na wieży kościelnej, kwadrans na jedenastą, wpół do jedenastej potem. Nie panując nad sobą z niecierpliwości i zdenerwowania udałem się na spotkanie kochanej dziewczyny. Doszedłszy do samego jej domku, ze zdumieniem przekonałem się, że furtka ogrodowa była na klucz zamknięta, ckiemnie zaś spuszczone.

Na progu sąsiedniego domostwa ukazała się niemłoda kobieta, pytając mnie, czy czekam na „panienkę“?

Dowiedziałem się od niej, że Maritza wyjechała o godzinie siódmej z rana karetką pocztową. Tym jej magłym i niezrozumiałym dla mnie krokiem oszołomiony, powlokłem się, niemal bezwiednie, ku staremu, kamiennemu mostowi, przerzuczonemu przez strumień, gdzie, wracając z naszych spacerów, zwykliśmy z Maritza siadywać na poręczy. Teraz... byłem tu sam, z sercem zbitałem... i bezmyślnym wzrokiem przyglądałem się wodzie strumienia, tak przezroczystej, że widać było pstragi, bystro mknące pod łukami mostu.

Nagle błyszczący przedmiot na kamienistym dnie przykuł moją uwagę. Zanurzywszy rękę w wodę, wydobyłem z niej klejnot, w którym wnet poznałem naszyjnik pani Santa-Anna...

Dlaczego Maritza rzuciła go przed wyjazdem do strumienia?... —

Dlaczego wykradła go ze szkatułki pani Santa-Anna?... —

Ach! Czyż całe życie nasze nie jest jednym wielkim „Dlaczego?“... —

Odesłałem znalezione w strumieniu klejnot panu Gaucherot, zawiadamiając go jednocześnie, aby nie liczył nadal na mnie.

Tum. Jotsaw.



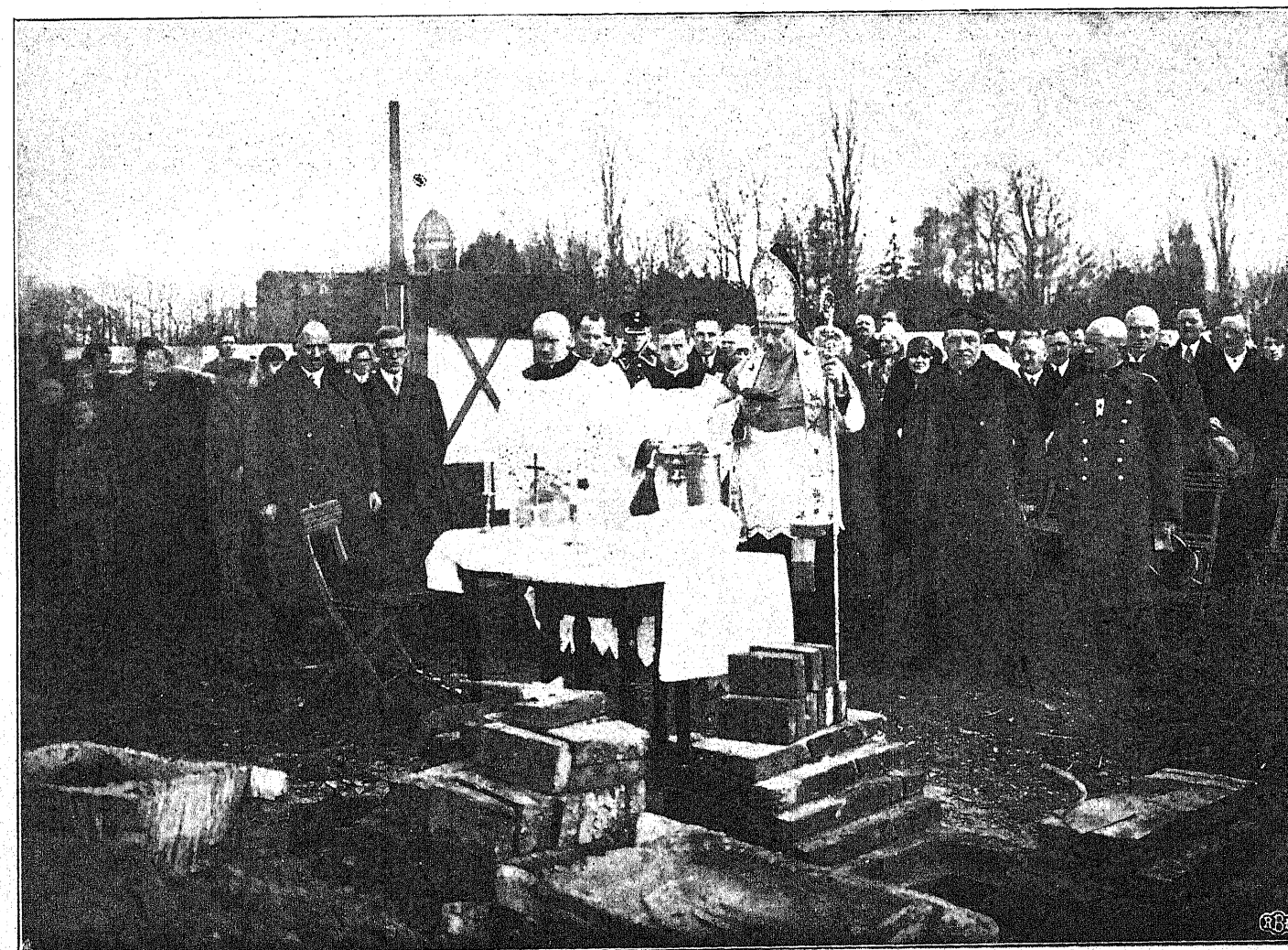
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 5 maja 1929 roku.

Nr. 18.

## Dziesięciolecie Polskiego Czerwonego Krzyża w Łodzi.



W dniu 28 kwietnia r. b. Polski Czerwony Krzyż w Łodzi, placówka wybitnie humanitarna święciła podniosłe 10-letnią rocznicę swego istnienia i pracy samarytańskiej. W uroczystościach tych wzięły udział wszystkie stowarzyszenia społeczne, organizacje zawodowe, związki i korporacje. Celem trwałego uczczenia swej rocznicy Polski Czerwony Krzyż zdecydował upamiętnić tę chwilę trwałym pomnikiem, jakim będzie potężny szpital, który wybudowany zostanie w Łodzi w niedalekiej przyszłości. Z tej okazji w dniu rocznicy odbyło się poświęcenie i założenie kamienia węgielnego pod budowę na szeroka skalę zakrojonego szpitala. Aktu poświęcenia dokonał, jak widzimy powyżej, J. E. ks. biskup dr. Wincenty Tymieniecki.

Fot. A. Mayer.

## TEATRALJA.

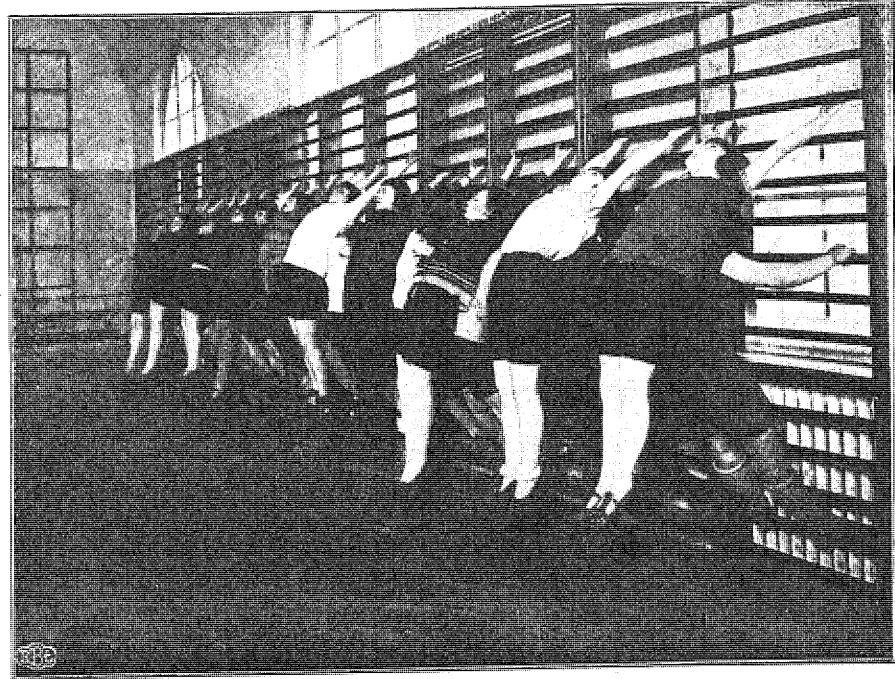
Z Warszawy i z prowincji. — Rocznica Sardou. — Niespodziewana sława. — Drobiazgi teatralne.

Stołeckie władze miejskie dały piękną inicjatywę — założenia w Warszawie dostępnego dla publiczności Muzeum Teatralnego. W składach i archiwach teatrów warszawskich znajduje się wiele pamiątek po najpierwszych mistrzach sceny polskiej (kostjmy, afisze, rękopisy ról, korespondencja itd.). Chodzi o uporządkowanie tych zbiorów, skatologowanie ich i udostępnienie interesującej się teatrem publiczności. Otwarcie muzeum przewidywane jest na jesieni. Przy tej okazji warto wspomnieć, że parę lat temu projekt założenia podobnego muzeum powstał w łonie inicjatorów Polskiego Instytutu Teatralnego. Zamierzenia te, o ile nam wiadomo, nie osiągnęły wówczas z różnych względów celu; do brzozy jednak było, aby obecnie w związku z projektem władz miejskich Warszawy osiągnąć się dało wspólnym wysiłkiem doprowadzenie do pomyślnego końca bardzo pożytecznej inicjatywy założenia tak niezbędnego w Polsce Muzeum Teatralnego.

Pracowity warszawski teatr robotniczy „Ateneum”, o którego owocnych poczynaniach mieliśmy możność pisać niejednokrotnie, wystawił ostatnio wesołą a jurną komedię Jana Aleksandra Fredry — „Oj, młody, młody!” Przygody młodego Wireckiego „męskiego podłotka” wśród sześciu aż niewiast w wiejskim babińcu, mają w sobie do dziś dni: dużo swobodnego humoru i sui generis pikanterji. Grano komedię bardzo dobrze, w reżyserji p. Kochanowicza, a całość otrzymała zmodernizowaną formę zamiast stylizacji, co jest niewątpliwie zasługującym na uwagę eksperymentem.

W kresowym Cieszynie bawił niedawno czeski teatr z Morawskiej Ostrawy, który wystawił arcydzieło Smetany — „Sprzedaną narzeczoną” oraz piękny balet Różycykiego — „Pan Twardowski”. Niezmiennie powodzenie towarzyszyło tym występom, rewizyta zaś za nie będzie gościna teatru polskiego z Katowic w Morawskiej Ostrawie. Katowicki zespół zamierza wystawić nieśmiertelną „Halkę”. Zachęcony powodzeniem teatr czeski wybiera się za kilka miesięcy na występy gościnne również do Katowic i Krakowa.

Niedawno minęła dwudziesta rocznica śmierci znakomitego komedjopisarza francuskiego, Wiktoryna Sardou, jednego z największych autorów scenicznych Francji 19 wieku, który i poza granicami swej ojczyzny wywarł wpływ głęboki na współczesne mu pokolenie dramaturgów. Komedię Sardou święcił nie jeden triumf i na scenach polskich, a role w tych komediach grali z wielkim upodobaniem tacy artyści, jak Marcello - Palińska, Żółkowski, Szymanowski, Rapański i inni. Jeszcze przed dwoma laty na scenie Teatru Narodowego w Warszawie cieszyła się zaśluzionem powodzeniem komedia Sardou p. t. „Safandula”, w której pomnikowe niejako kreacje dali Solski oraz nieżyjący już Kamiński i Kotarbiński. Był to prawdziwy popis wysokiego



Wychowanie fizyczne kobiet w ośrodku łódzkim. Na zdjęciu ćwiczenie gimnastyczne młodzieży żeńskiej na drabinkach. Fot. A. Mayer.

kunsztu aktorskiego, popis, który ma zawsze pozostanie w pamięci widzów.

P. R. S. Sheriff, domiedawna agent ubezpieczeniowy i amator wszelkich sportów, jest chyba jednym z dramaturgów, których udziałem stała się sława w sposób najzupełniej niespodziewany. P. Sheriff, b. uczestnik wielkiej wojny, napisał na tle swych przeżyć frontowych dramat „Journeys End” — dla użytku kółka dramatycznego klubu, do którego należał. Mimro odniesionego na scenie amatorskiej sukcesu, „Journeys End” nie chciano wystawić przez dłuższy czas w żadnym teatrze i nie nie zapowiadało wschodu błyszczącej gwiazdy autora. Po długich staraniach, sztukę Sheriffa wystawiło wreszcie pół-zawodowe stowarzyszenie „Stage Society” — i tu odwróciło się kółko fortuny. Dramat nieznanego dotąd autora nie tylko obiegł z triumfem najpoważniejsze sceny angielskie, ale powędrował wkrótce za ocean, aby i w Ameryce przynosił autorowi sławę i pieniądze. P. Sheriff został wydzwignięty z nicności pisarskiej, odniósł sukces, o jakim nie marzył. Jedną z charakterystycznych cech dramatu jest zupełne pozabawienie go ról kobiecych, co tłumaczy się warunkami sceny klubowej, na której użytek, jak poprzednio wspomnieliśmy, „Journeys End” był początkowo pisany.

Skoro mowa o Anglii, zanotujemy z zadowoleniem poważny sukces polskiego autora, Wacława Grubińskiego, w Royalty Theatre, w Londynie. Grubiński wystawił tryptyk sceniczny p. t. „Polkój, wojna i rewolucja”, składający się z grywanych w Polsce jednoaktówek „Djogenes i Aleksander”, „Piękna Helena”, „Lemlin”. Cała prasa angielska odniosła się do dzieła polskiego autora bardzo życzliwie, przypisując mu między innymi pewne analogie z twórczości G. B. Shawa. Ciekawe, że Shaw, który

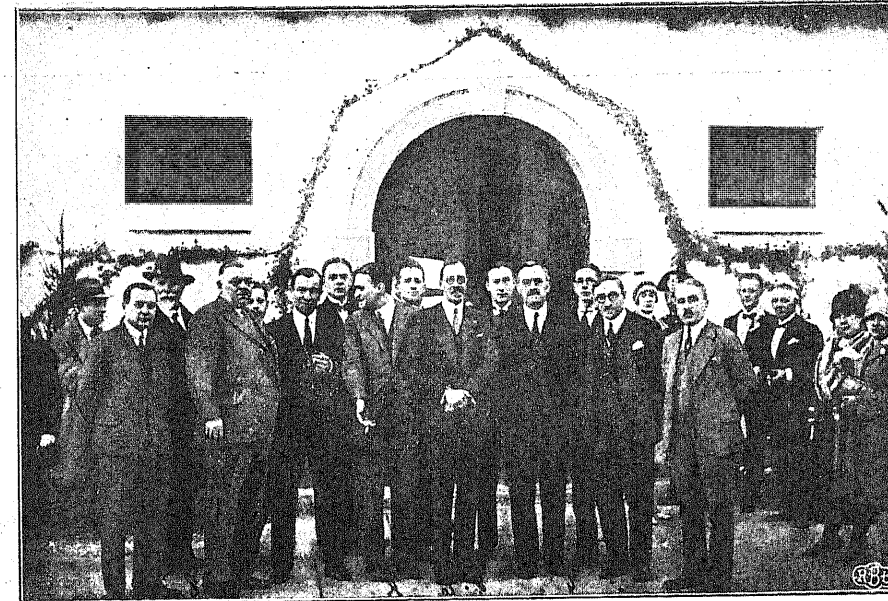
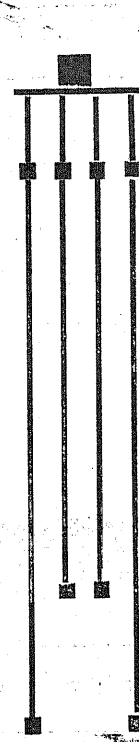
bardzo rzadko ukazuje się w teatrach, zaszczylił jednak premierę Grubińskiego swą obecnością. Sukces Grubińskiego posiada niemałe znaczenie propagandowe, co zwłaszcza na gruncie angielskim musi być bardzo wysoko cenione. Przy okazji należy wspomnieć, że „Księżniczka żydowska” — Grubińskiego, grana w swoim czasie w Warszawie, ma być niezadługo wystawiona w przekładzie niemieckim we Frankfurcie nad Menem.

Słynna powieść Multatuli'ego (F. D. Dekkera) p. t. „Max Havelaar”, odsłaniająca kulisy holenderskiej polityki kolonialnej — przerobiona została przez niemieckiego pisarza Eug. Ortnera na 3-aktową sztukę p. t. „Kawowe maszyny Leboocku”, w której zobrazowana jest walka pomiędzy idealistą Havelaarem a jego przełożonym - gubernatorem van Kempenem. Walka ta kończy się porażką Havelaara, któremu brak siły i wytrwania do wcielenia w życie humanitarnych ideałów. Sztukę Multatuli'ego - Ortnera wystawiono w „Prinzregenttheater”, z bardzo jednak miernym sukcesem.

Delta



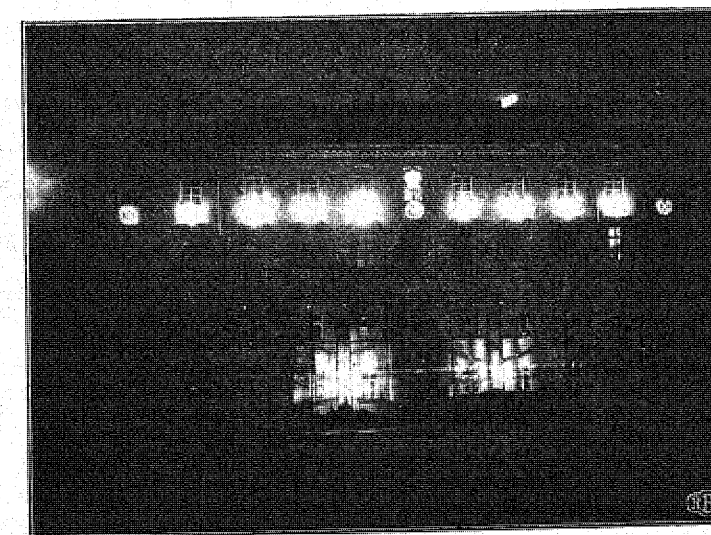
Bohdan Gylls, jeden z czołowych artystów warszawskiej szkoły filmowej N. Njowilli, kreujący rolę w filmie produkcji krajowej p. m. „Przygoda jednej nocy”.



Na wystawie w Medjolanie Polska posiadała własny pawilon, którego fronton widzimy powyżej. Na tle zaś udekorowanych murów grupa reprezentantów miast polskich z konsulem Janem Derezińskim, prezesem Komitetu p. St. Adamkiewiczem ora z pilotami polskimi Kliszem i Kowalczykiem na czele.



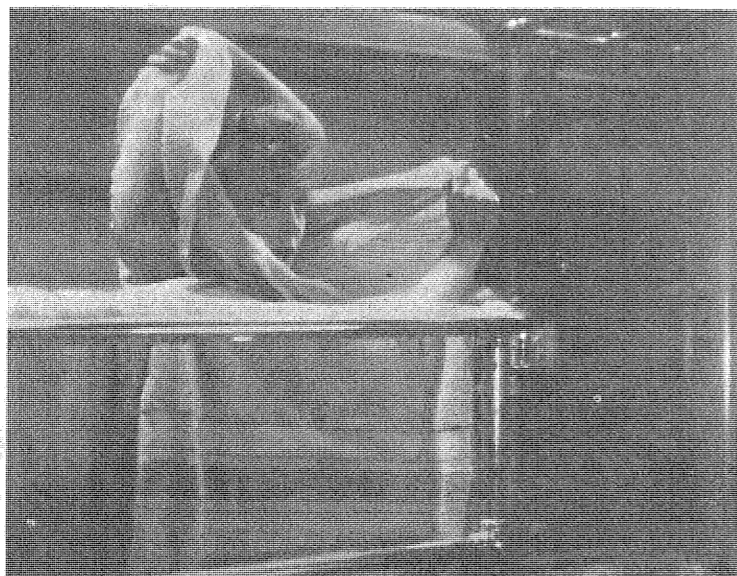
Na zdjęciach powyższych od strony lewej widzimy moment z poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę szpitala Czernowego Krzyża w Łodzi. W głębi z kazalnicy przemawia J. E. ks. biskup dr. Tymieniecki, na prawo zaś wmurowanie aktu erekcyjnego.



W ubiegłym miesiącu Rada Miejska i Magistrat Łodzi uczlił 10-letnią rocznicę istnienia samorządu na terenie naszego miasta. Powyżej widzimy na zdjęciu od strony lewej gmach Magistratu zreślicie uświetniony w godzinach wieczornych, na prawo zaś koleżeńska biesiada wyższych urzędników miejskich w restauracji „Tivoli”. Fot. A. Mayer.



Lilian Harvey odgrywa główną rolę w filmie p.n. „Jedna noc w Londynie”.



Marcelina i Malcolm Mac Gregor w obrazie p. n. „Siódme mocarstwo”.



Renee Adoree, bohaterka „Wielkiej parady”, ukaże się wkrótce w swej najnowszej roli w filmie p. n. „Uwiedziona ko chanka”.



S. R. Kent, generał dyrektor amerykańskiej wytwórni „Paramount”.



Pola Negri stworzyła potężną kreację w filmie „Podwójne życie”.



Loretta Young, jedna z najmłodszych artystek amerykańskich oraz znakomity artysta charakterystyczny, Lon Chaney w filmie p. n. „Maska śmiechu”.

Ulubieniec starych i młodych, uzdolniony artysta filmowy: Jackie Coogan w filmie p. n. „Jackie — marynarzem”.



Artystka europejska Helena Hallier, znana z obrazu „Panna Mama”.



Clara Bow w filmie p. n. „Ulubienica załogi”. Partnerem jej w tym filmie jest James Hall.



Film p. n. „Trzykrotne wesele” dał pole do popisu arcymliej Nancy Cze i sympatycznemu Charles'owi Rogers.



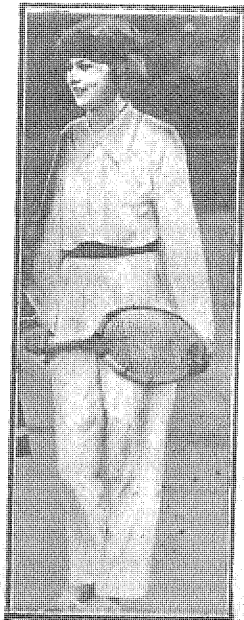
Nils Asther wystąpił ostatnio jako partner Pola Negri w filmie „Miłostki aktorki”.



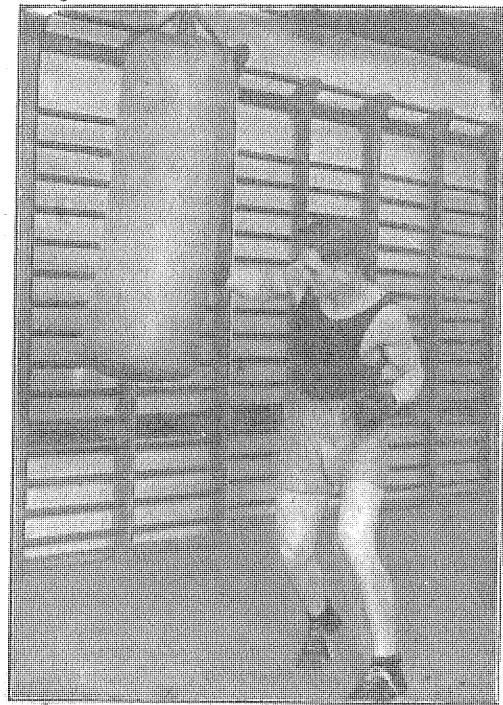
Norma Shearer wraz ze swoim partnerem, Ralphem Forbesem w najnowszym obrazie wytwórni „Metro” p. n. „Kobieta a interes”.



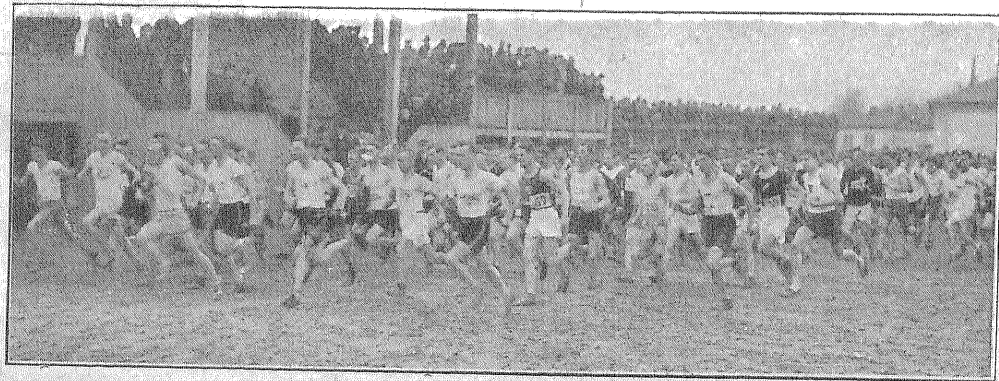
Lodzianka, p. Richterówna, mistrzyni w tenisie.



Stylowy strój tenisowy na rok 1929.



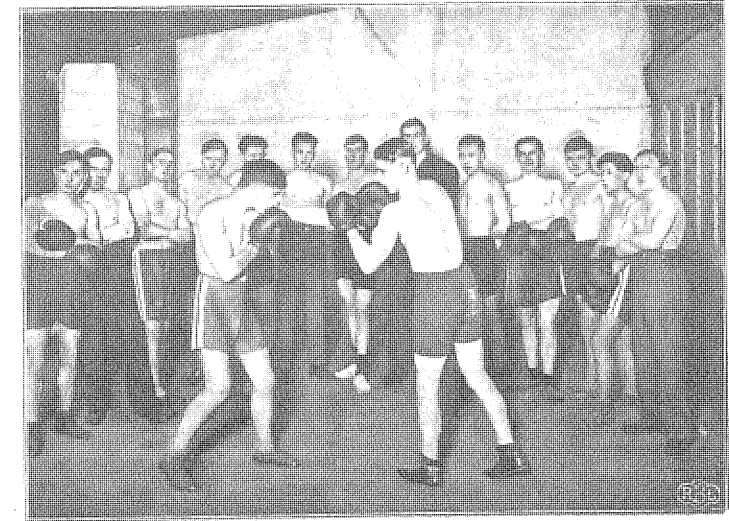
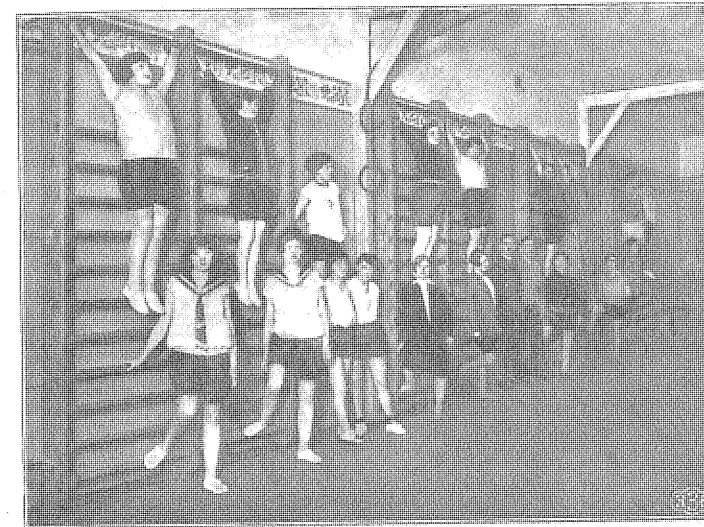
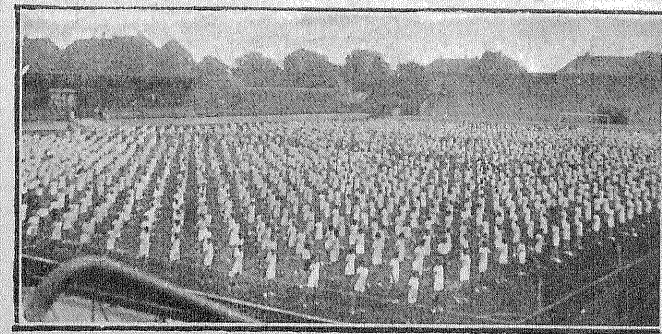
Mistrz Warszawy, Ran, w czasie swego codziennego treningu w sali gimnastycznej.



Tegoroczny „Bieg Narodowy” odbył się 3-go maja w Warszawie. Wzięło w nim udział około 2 tysięcy zawodników. Powyżej widzimy uczestników biegu na starcie.



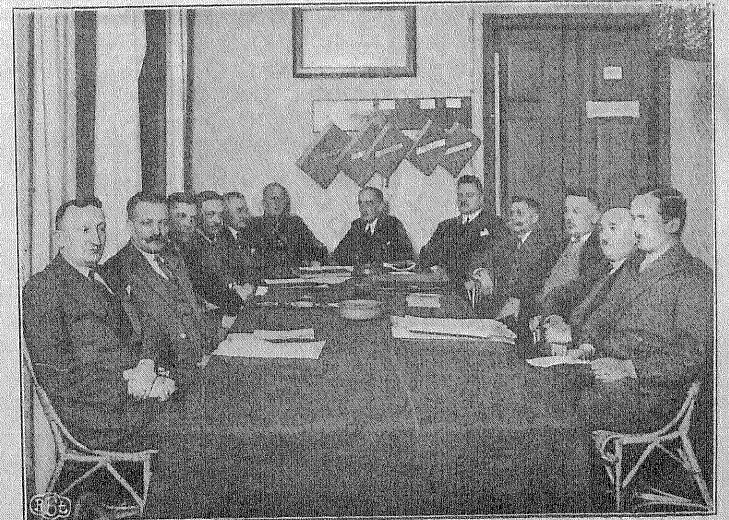
Propaganda sportu wśród młodzieży szkół średnich i powszechnych przynosi pożądane wyniki. Idei rozwoju fizycznego hołduje obecnie młodzież wszystkich szkół w Polsce. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej popisy gimnastyczne, odtworzone obrazowo przez zespół uczenic, na prawo zaś zbiorowe ćwiczenia chłopców.



Szara i wrzaskliwa a pracowita Łódź rozwija się na każdym polu i w każdej dziedzinie życia w tempie przyspieszonym, niemal zawrotnym. Podobnie jak ze swej produkcji włókienniczej, słynie Łódź również i z tężyzny fizycznej. Sport w mieście naszym to druga idea, obok „czystego interesu”, której hołdują liczne rzesze miłośników, krzewiąc ją również i wśród posepnych i ponurych murów wielkomiejskich. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej ćwiczenia gimnastyczne robotnic Zjednoczonych Zakładów K. Scheiblera i L. Grohmana, na prawo zaś nauka boksu uprawianego przez robotników tych zakładów.



Robotnicy zakładów Scheiblera i Grohmana poświęcają wolne od zajęć chwile wszelkiego rodzaju sportom, a więc piłce nożnej, koszykowej, szermierce i t. p. Na zdjęciu od strony lewej widzimy drużynę „koszykówki”, na prawo zaś drużynę szermierczą.



Poza sportem młodzież robotnicza chętnie zajmuje się zdrową i pożyteczną lekturą, zaopatrując się w książki we własnej czytelnicy robotniczej, której oddział widzimy na zdjęciu od strony lewej. Na prawo zaś członkowie zarządu, kierującego wychowaniem fizycznym robotników w zakładach Scheiblera i Grohmana.

Prof. A. Meyer.

## Cios.

Marget Crimson objęła zamglone widokowce spojrzeniem pełnym urazy. Niebiosa Indyj? Gdzież więc są ich błękity?

Jako młoda sportsmenka, Marget przemierzała świat, co przystoi solidnej Amerykance, szczerze zaopatrzonej w dolary przez papę businessmana. Ziemia jest śmieszniejszą kruszynką, którą aż nazbyt szybko się okrąża. Zachwyty pierwszych kroków nie trwają długo i wkrótce już ma się wrażenie podziwiania wciąż tych samych krajobrazów.

Chwilowo Marget cierpiała na niestrawność świątyni, pagód i pałaców. Osadzona na wysmukłych nogach, których linie bardziej jeszcze uwidniały obcisłe getry, gibka w swym kostjumie globtrotterki dla udogodnienia podróży męskim i uwiecznionym kopułą korkowego hełmu, nerwowo smagała czcigodne kamienie końcem swej gumowej pałki, która dopełniała jej umundurowania.

Wpobliżu dwaj przewodnicy nadwyreżali swe gardła w zapasach krasomówczych, sławiących minione cuda ruin Amazarury, byłej stolicy birmańskiej, która dziś stała się cmentarzyskiem świątyni opuszczonych — dwaj przewodnicy, przewodzący dwóm karawanom turystów, przybyłych w „car'ach“ z Mandalay'u. Spróbujcie, proszę, w podobnym towarzystwie zakosztować poezji ruin!

— Stosować się do godzin rozkładu, chodzić stadem, lub tworzyć krag wokół uczonych wywodów cicerone z agencji, nastawiać swe wybuchy podziwu i niesienia w takt wskazówek metronomu, na to trzeba ciepłoty amiołów. A Marget nie zaliczała się do ich grona.

W szóstej wreszcie świątyni postanowiła opuścić karawanę i waleśać się wśród ruin, według swego widzimisie.

Z jakąż rozkoszą zatopiła się w samotności i milczeniu! Odrazu nasza „girl“ pojednała się z stylem chałouya, z kopułami monolitów i z salami na słupach. Odnalazła w sobie duszę rozkosznie psotną małej dziewczeczki, bawiącej się w chowanego. Używając wybiegów, godnych czerwonoskórych, z niemym na ustach uśmiechem, chyłkiem okrążała budowle, starając się wytropić stada turystów i czekając dopóki się nie wyniosą, by z kolei przystąpić do wrót piramidalnych i wtargnąć aż do serca świątyni, przed oblicze kamiennego bóstwa.

Zaledwie doznała lekkiego wzruszenia, gdy ucho jej pochwyciło nagle zdławione wołania, a następnie odgłosy walki, dochodzące z pod mroku kolumn.

— Na pomoc! — — — Ratunku! — — — Odruchowo Marget pomiosła głowę i nadśluchiwała. Ale okrzyk nie powiódł się. Usłyszała tylko, po niemym szamotaniu, głucho łomot padającego ciała i rodzaj schrypniętego jęku. Śmiało rzuciła się w tym kierunku i wnet odkryła przyczynę zamie-

szania. Powalony w kamiennym pyłe, grubo zaścielającym ziemię, człowiek jakiś charczał, a zbrodnicze dłonie napastnika, klęczącego na jego piersi ścisnęły mu krtań jak kleszczami.

Nic w tem szczególnie nie było dziwnego, że ruiny te udzielały przytulku bandytom, czatującym na ofiary. Marget z łatwością odtworzyła sobie przegodę człowieka, powalonego wśród rumowisk.

Dziewczyna nie zawahała się. Skoczyła z pałką wzniesioną i błyskawicznie opuściła ją na kark napastnika, który zwołnił z uścisku swą ofiarę i runął, nie wydając nawet jęku. Napastowany w okamgnieniu zerwał się na nogi, otrzásając się z wyrazem przerażenia, które wielce zabawiło Amerykankę.

— Wyszliśmy bez szwanku? — zapytała serdecznie. — Nieco później, a byłoby po wszystkim.

— Może sobie pani wyobrazić, — wybelkotał napadnięty, jeszcze dygocący ze strachu.



Rzucił bojaźliwe spojrzenie na opryszka, chwilowo obezwładnionego. Wzrok jego jawnie zdradzał obawę, by ten nie przyszedł do siebie i nie ponowił ataku.

— Niewiele mu już brakuje — wesolo zapewniła dziewczyna. — Pozostaje nam tylko związać go i oddać w ręce policji.

— We dwoje nie podolamy, — sprzeciwił się napadnięty, niezbyt zachwycony pomysłem. — Pobiegnę po sznur i posilkki. Może zechce pani czuwać nad nim przez chwilę?

Umknął co sił w nogach, nie czekając nawet jej zezwolenia.

Marget przyjęła wybuchem śmiechu tę zbyt przezorną ucieczkę.

— Tchórz! — oceniła ze spokojną pogardą. — Bandyta dobrze wybrał swą ofiarę.

Przyjrzała się mężczyźnie, którego cios jej zwał z nog. Był to Europejczyk, ubrany bez zarzutu, o twarzy pociągającej i

— Niemądry „boy“! Jakież to przewiny ma na swoim sumieniu, które go doprowadziły do ograbiania samotnych podróżnych? — wyszeptowała dziewczyna. — Żeby przynajmniej nie wpadł na pomysł odzyskać przytomności! Konieczność wymierzenia mu drugiego ciosu sprawiłaby mi przykreść istotną... Prawie tak wielka, jak współdziałanie w dostawieniu go do więzienia!

Zaczem, gdy ofiara napadu zwlekała ze sprowadzeniem obiecanych posiłków, u-

świadomiła sobie nagle, iż nie ma powodów przedłużania swej roli dobrowolnego stróża bezpieczeństwa. Napaść poważnych skutków za sobą nie pociągnęła. Nie było się już za kim ujmować. Mogła zatem wynieść się cichaczem. Tem gorzej, jeśli bandyta wymknie się z rąk sprawiedliwości.

W tej chwili właśnie ozwały się klaxony zwiastujące odjazd car'ów.

Z uczuciem ulgi, Marget pobiegła w tę stronę.

— Tem gorzej dla napadniętego! — zawyrokowała. — Mógł się przecież pośpieszyć.

\* \* \*

W pół roku później, przeobrażona w ośniewającą młodą damę, Marget uzupełniała w dancjach paryskich swe odkrywczemu badaniom części świata. A przygoda wśród ruin Amazarury całkiem zatonała w jej pamięci.

Lecz oto tancerz pewien zwrócił jej uwagę, w tej właśnie chwili, gdy skłaniał przed nią uśmiech swej prośby światowej.

Odruchowo podniosła się i rozpoczęła black-bottom, trzymając oczy utkwione w twarzy swego tancerza.

— Już gdzieś pana widziałam — oświadczyła bez ogródek.

— Myli się pani niezawodnie — sprostował ze śmiechem młodzieniec. — Knę się bowiem na wszystkie świętości, że nie zdołałbym w pamięci swej zatrzeć tego oblicza, gdybym kiedykolwiek już miał szczęście zbliżyć się do pani.

— Nie w Paryżu to było — obstawała przy swoim, zatrzymując się nagle i oszadając z opłotu ramion tancerza. — To było w Indjach... w Amazarurze. Czy nie przypomina pan sobie pewnego ciosu, którym go obdarzono, w chwili gdy miałeś zamiar zadusić, by następnie ograżyć, Bogu ducha winnego turystę, niezbyt wyćwiczonego w samoobronie? Czy i tutaj znajduje się pan dla przeprowadzenia podobnej operacji? W takim razie musiałabym żałować, że nie wydała go wówczas władzom bezpieczeństwa.

Zdumiony, ale bynajmniej nie zdruzgotany, jak go sobie wyobrażała po tem oświadczeniu, młody człowiek utkwiał wzrok w dziewczynie.

— Pani to była zatem? — wykrzyknął. — Pani, współniczka, której twarzy nie widziałem, a której policja dotychczas poszukuje? Droga miss, niebo niech panu ma w swej opiece. Cios jej oswoił wietrutnego łotra, którego ofiarą padł zapewne niejeden podróżny, co prawie i moim stało się udziałem, na 2 minuty zaledwie przed pani bohaterским wystąpieniem.

— O!... Czyżbym się więc omyliła? — wykrzyknęła Margaret, szczerze zmieszana. — Nie mam słów na swoje usprawiedliwienie!... Ale mimo wszystko, serdecznie jestem rada, ponieważ twarz pańska wydała mi się zbyt ujmująca... tak, istotnie, zbyt ujmująca jak na złodzieja!... Dla tancerza zaś... all right!...

Tłum. El.



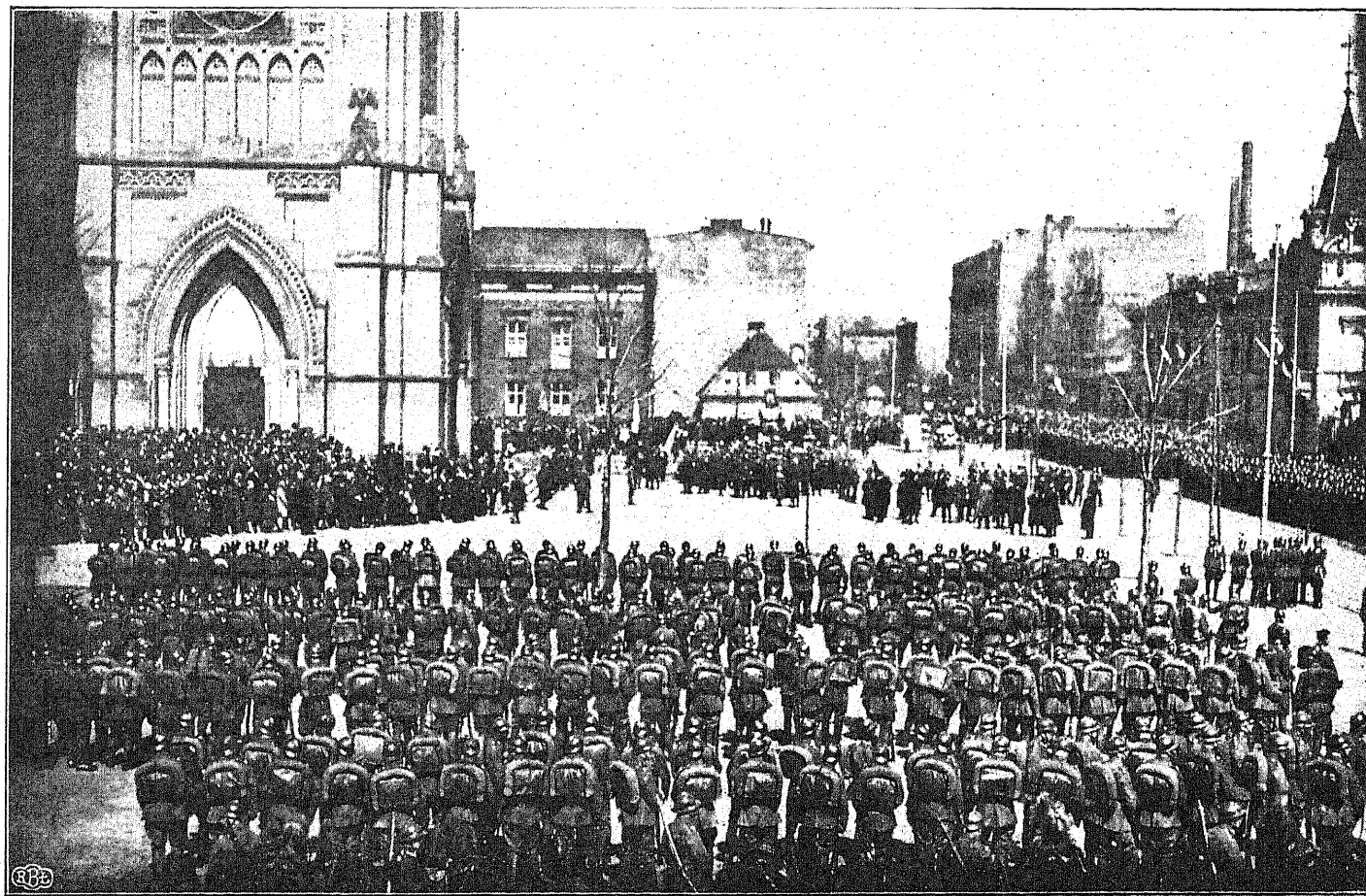
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Kol. VI.

Niedziela, 12-go maja 1929 roku.

№ 19

## Dzień 3-ci maja w Łodzi.



Rocznica konstytucji majowej, będąca pięknym dniem święta narodowego w Polsce, jak zwykle i w roku bieżącym święcona była w niezwykłym nastroju i atmosferze podniosłej. Dzień 3-ci maja uczcili w Łodzi wszystkie warstwy ludności, oddając hołd wielkim twórcom konstytucji.

Na zdjęciu powyższem widzimy plac katedralny z licznymi oddziałami wojska na tle katedry św. Stanisława Ko-

Fot. A. Meyer.